Rok siódmy. 20 Stycznia 1848 r. Nr. 3.

Wydawca i Redaktor Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

DUKAT W APOTEOZIE.

(Dokończenie)

Dziewcze. Dziś będzie inaczéj.

Młodzieniec. Dziś miasto piołunu, może być arszennik. Jam ubogi szlachcic, on stary znarowiony magnat... nie w ludzkiej mocy, bym cię z jego rąk otrzymał.

Dziewcze. O Bogu zapomniałeś!... On przecie z niebiańskich krajów czuwa nad każdą naszą godziną... Auguście, a ty wątpisz — ty jego dłoni nie czujesz?...

Młodzieniec. Zbłądziłem — ale Panie! dzięki Tobie, coś anioła stróża w postaci kobiety postawił u boku męża. — Ewelino! — będziem szczęśliwi!...

Dziewcze. Będziemy!... i drogi mój ojciec z nami. - O! bo wierz mi, prawy to człowiek... cała jego wina, jest winą wieku — zasad — nałogu, — nie serca. I on czuje — i on wierzy w Boga!...

Młodzieniec (posępniej). Oby!...

A wtém w sąsiedniej gęstwinie coś zatrzęsło liśćmi - szelestnęło i ścichło... jak nagle rzucony kamień.—Młodzi nie słyszeli szelestu— jam zasłyszał i zadrżał, — bo szelest był krótki — zerwany, — niby skok wilka,—niby jastrzębia przelot nad gniazdem przepiórek.

Poskoczyłem — śmignąłem w gęstwę źrenicą... i zadrgnąłem raz drugi... oj bo wilk to był i jastrząb na społy, ale stokroć od obudwu drapieżców straszliwszy — bo wilk i jastrząb w ludzkiém ciele.

Niewielki wzrostem — żółto - śniady — podziobany w różno - wzore szramy, jak plastr wosku w ulu—zdawał się jeszcze mniejszy w kłąb zwinięty jak żbik pod pniem wyniosłej jodły. — Straszny był. — Rozczochrane siwo-czarne włosy, ruszały mu się po głowie, jak sierść na grzbiecie rozżartego kota, — stłumiony oddech wydzierał ciężko z gardziela.—Śniada twarz poorana szerokiemi bruzdy, przy dziwnéj łunie wewnętrznego ognia, wyglądała jak zdruzgotana cierpieniem twarz potępieńca z piekielnych dymow. Patrzył wciąż w jednę stronę jaskrawo, przeraźliwie — a jam w téj larwie namiętności nie mógł dopatrzéć jednego rysu człowieka.—A jednakże był to stary hrabia Poraj. Młodzi jak dwa gołąbki na sośnie gwarzyli sobie tymczasem pieszczotliwie - swobodnie—jastrząb w gęstym krzaku ledwo nie pękł ze złości... O co?... Bóg go wie.

Aż na raz powstał równémi nogami jak wryty—podrzucił w górę drżącą pięść — i jednym niezwykłym na stare lata i starszą podagrę susem, wpadł napowrót w ciemną przepaść kniei.

Młodzi — zasłuchani — zapatrzeni cali w siebie, i onego nie zachwycili szumu;—hrabia tymczasem jak stary lis — borowy żydowin, myszkiem-chyłkiem snuł się, potykając nieboże co tchu zapadłą ścieszką, co niby obrąbek, biegła gęstewkami tuż - tuż za wybrzeżem kniei. I— o nieba! — czy on oślepiony złością - czy oszalał?... rzekłbyś że ucieka przed nimi, tak biegł wprost w przeciwną stronę... A to nie ucieczka ani szaleństwo, tylko hrabia nie na wiatr z tylu generałami za lepszych dni suszył szampana. Duch strategiczny wpłynął weń — i przyjął się jak na własnéj glebie. — Niby niespodzianie — a wszystkiego świadom, jak ów stary Cunctator, bez wy-

dania walnéj bitwy, chciał otoczyć ich — przeciąć odwrót — i znieść ze szczętem. — Dla tego odbiegłszy z dwieście kroków w tył, przystanął słupka, jak kot przed gończymi — posłuchał — zwrócił się w prawo, i wprost przez gąszcze ruszył od kniei ku łące.

A Bóg sam wie coby ztąd było wynikło, gdyby kochankom i leśnemu zwierzowi, nie dał przeczucia — wiatru że tak rzekę, którym czują wroga przez skórę — czas — i przestrzeń. — Zasłyszeli szum gałęzi rozbiegających się pod hrabskiemi nogami.

„To ojciec!" huknął głucho młodzian.

„Bądź zdrów!" — rzuciło dziewcze jak strzałkę — „mów z nim natychmiast"... machnęło rączką na pożegnanie — poskoczyło ku boru — i nim stary hrabia, gramoląc się po gąszczach, wynurzył zza jodłowych toni — przepadło w zielonéj leszczynie, jak kamień w studni.

Stary wyszedł na przekopę, rzucił źrenicą po łączce jak żądłem i stanął nagle bezwładny — z otwartémi ustami, niby słup u rozdroża. — Biedny, nie mógł się pojąć — zgłupiał jak przed widmem.

A młody tymczasem niby widmo — niby inny człowiek, z spokojném okiem — pogodném obliczem — jak nigdy nic, walił sobie śmiało, swobodnie ku niemu, zbijając laseczką kwiatki wedle ścieszki. — hrabia przetarł oczy... „uciekłą!... jaszczurcze — niewieście plemie"... wyzgrzytał prawie, nie wyrzekł — i bledszy jeszcze, szkaradniejszy w swéj ospowatéj brzydocie, żółwim krokiem począł wlec się naprzeciw młodzieńca.

I za chwilę pięć kroków ledwo ich dzieliło...

Młodzian pierwszy zapoczął rezolutnie, powszednią powitania śpiewkę.

„A... a... a... tak rano — aż pod moją chatkę," — odbił stary ironijno — bezczelnym tonem... a... a... zawsze amator idyllicznych poranków."

„Tak hrabio. — Ale dla mnie milszą jest przyjemność widzenia pana... tém bardziéj"...

„O wierzę — wierzę: — zawsze aż nazbyt łaskaw dla biednego starca."

„Aż nazbyt?..." porwał jak wodą wrzącą oblany młodzieniec; — „Aż nazbyt?... O zapewno... tak... może... byłem ślepy. — Ale daruj hrabio — daruj — zapomniałem że biedny zawsze jest nazbyt na tym świecie... Na potém, będę się starał niedobiedz nigdy onego kresu zbytności... Ale dziś — wybacz panie hrabio, pierwszy to raz — a może ostatni, połknąć muszę to ciernie, którém mnie obrzucić raczyłeś... i naprzykrzyć się moją obecnością. — O boli to!... ale tak powinienem — tak każe mi cześć — serce i sumienie."

„Słucham go" — wybąknąć raczył zwięźle stary magnat.

„Hrabio — mój poczciwy ojciec umarł, ocalając twój honor i życie... zostałem sam na szerokiej ziemi. Ale Bóg z niebios czuwał nad sierotą... ty hrabio raczyłeś być jego ręką na świecie. Obroniłeś szczątki rodzinnej chudoby — byłeś mi drugim ojcem... Hrabio — nie roszczę nigdy prawa do twych uczuć — ani do twego sumienia — odbierałem je z rąk twoich jako dary dobroczynności... Ale dziś — dziś przychodzę do ciebie panie — w imieniu krwi twego wybawiciela; — panie hrabio, posłuchaj mnie, jako przybrany ojciec syna..."

„No... no mów panie Auguście;" — poczynał zaambarasowany hrabia — i uciął jakby zbłąkany w własnych wyrazach.

„Hrabio — zaswoiłeś mnie w twojéj rodzinie... pozwoliłeś bawić długie tygodnie w twym domu... a w twoim domu był anioł... a jam młody... i anioł śliczny... jam temu nie winien, tylko ty sam Hrabio..."

„A ja pytam, czy mu pomąciło się w rozumie? — czy naszedłeś mnie asan w własnej zagrodzie, stroić sobie niewczesne drwinki? — Na poczciwość nie rozumiem... niepowinienem rozumieć asana!..."

„Zabijasz hrabio szyderstwem... pogardą... — nierozumiesz?... Więc powiem prosto — otwarcie... jak otwarte — poczciwe są moje zamiary i mój ród. — Hrabio — kocham twoję córkę!..."

„Hrabiankę Ewelinę!..." huknął, niby przerażony gromem arystokrata... „Asan!... zagonkowiczu!... krew z krwie — kość z kościska bohatérów!... Za to żem mu dał chleb własną ręką — żem go jak szczenie podjęte z barłogu w własnym domu na człeka wykarmił!... Czy słyszysz ty Panie Boże?... Na honor... ha! ha! — to śmiesznie...

to piekielno śmiesznie!..." ciął od góry—pysznie—powoli—w każdém słowie huczało całe pieklisko jadu—szyderstwa.

A twarz młodzieńca posiniała—zbladła... oczy krwią zaszły, jak oczy tygrysa—zsiniałe wargi trzęsły się jak w grudniowy mróz...

„Hrabio—czy wiesz ty... wiesz ty... że i człowiek wściekną́ć się może?..."

„Napij się asan wody—oto strumień,—a wścieklizna ugaśnie; —przywołaj rozsądku, a powie mu jak przemawiać winien do osób, których znaczenia względem ciebie biedny szlachetko w swém szaleństwie, pojąć nawet nie jesteś w stanie."

„Moje znaczenie tak dobre jak i pańskie; o przodkach milczmy, bo zacząwszy wywodzić jego naddziady, długie dzieje pychy — brudu i podłości kreślić by nam może przyszło... co do mienia? hrabio, znam dobrze twoje dziś i wczoraj, — jednak milczę bo nie przychodzę jako sumienie, ale jako syn do ojca kupionego krwią i majątkiem. — Dla tego patrz mój drogi ojcze!" podjął tonem szlachetnéj rzewności — „tyś mnie rozdarł jak tygrys — a ja błagam cię na kolanach!... i jak przed Panem Bogiem upadł pod jego stopy: — „nie niezabijaj naszéj przyszłości... szczęścia dwojga twych dzieci... hrabio — Ewelina kocha mnie!..."

„Mości panie" — zagwarzył hrabia — przyrzucając się cały larwą poważnego umiarkowania; — „wiedz proszę, że wierzę tyle jego słowu co i synowskim czułościom. — Moja córa zna jaka krew płynie w jéj szlachetnych żyłach — wie co winna świetnemu mianu — rodowi i ojcu! — Moja córka zna że na hołotę patrzy się wzrokiem politowania i łaski, ale nie wzrokiem miłości..."

„Więc ja kłamię?" pochwycił zrywając się August.

„O nie — nie!... brzęknął wtém głos jakiś srebrny, niby harfy drżenie; i nim zmięszany hrabia odrzucić zdołał w bok oczy — Ewelina blada — zapłakana jak różyczka o świcie klęczała u nóg jego.

„Ojcze — ojcze daruj... ja jego kocham..." wyjąkało zaledwo nieboże i w serdecznym płaczu upadło do kolan starca.

A hrabia stał jak paraliżem ruszony. — Zamysłów cała świetna tkanina, porwała mu się — rozmiotła w mózgu jak dym... wszystkie szeregi wyrazów odmierzonych zimną rozsądku skalą, rozpry-

sły jak sznur korali. — Wpadł biedny między młot a kowadło i zgłupiał po raz drugi.

A dziewcze wciąż kwiliło „Ojcze mój drogi! ojcze!” a młodzian stał wedle dziewczęcia i patrzył w nią przejrzysto — głęboko — radośnie... jako anieli patrzą w swe niebiosa.

Tak było mgnienie... a po mgnieniu stary zadrgnął, niby ocknięty z letargu — pojrzał przed siebie — może i w siebie... zebrał się, otrząsł — rozrzucił z oblicza chmury — nawet uśmiechnął... to dziwno!... i niby inny człowiek, zagrał tonem serdecznéj poczciwości:

„Welciu — dziecino moja... kochasz go — i przed miłością — przed szczęściem życia twego rozpaczasz jak przed grobem? Niedobre dziewcze — czy myślisz że na głaz zimny, nie na serce ojca padają żałośne łzy twoje? — Umilkł podniósł dziewcze do piersi — głębokim — pełnym przywiązania wzrokiem patrzył w jéj śliczną zapłakaną buzię — w zamglone łzami oczki... A dziewcze także umilkło martwo — bez oddechu... i młody ukląkł mimowoli — pochwycił dłoń hrabiego, i milczał także — rozmarzonem okiem wodząc po jego obliczu. — Zdało się obojgu, że wpadli w nieznajome — zasłoneczne, jasne światy... pojęli szczęściem tchnący brzęk mowy hrabiego, — nie mogli pojąć jéj mrokiem zasutych zródlisk, mroczniéjszego końca.

Bo i zaprawdę, dziwniéjszy był on cudowny przelot, jak południe w nocy... Ale czy równie poczciwy w głębiach jak w stroju? czy to w starym Hrabi prawowite — ojcowskie — zacne — ludzkie serce tak zagrało huczno, z pod stosów zgnilizny, dzieła całego żywota? czy może tylko zbójecko-dyplomatyczny rozsądek skorupiaka, co w doświadczenia i samolubstwa uściskach, rozwinął się w nim, kosztem całéj boskiéj drugiéj ducha połowy, jak garb na grzbiecie Ezopa? Bóg jedno zna prawdę... my przypuśćmy lepiéj pierwsze, wszak i on był człowiekiem!

„Niepojmujesz mnie widzę dziecie — jako ja niepojmuję twoich dziwnych oczów?”

„Ojcze — bo taka niebiańska ta mowa.”

„Tyś mi jednak po ziemsku za nią płaciła, — ty mi nie ufasz

pociecho moja — a jednak okrom Boga jestże kto pod słońcem, coby gorącéj pragnął twego szczęścia?

„Ja!” —wykrzyknął z zapałem młodzieniec, chwytając dłoń starca: — „Ja — panie! daj mi ziemski raj z tym aniołem —a ujrzysz!”

Stary lekko — zerwisto zatrząsł szaremi brwiami lecz w lot błysk grozy zniknął, została sarmacka powaga.

„A maszże po temu siłę i zasoby” — zagwarzył poczciwie — „ jestżeś pewny że twe słowa nie są wiatru szumem, a twe przysięgi, długiem jak życie konaniem dla krwi mojéj?”

„Ojcze! zapytaj jéj.”

„Ja jego kocham!” zakwiliło znów dziewcze, tuląc rozrumienną twarzyczkę ku piersiom ojca.

„I ja ciebie kocham dziecino, a na twą przyszłość nie patrzę przez różane szkiełko kilku uniesień — kilku podskoków młodéj krwi — ale przez serce ojca. — Dziecię! — posłuchaj więc: — gorzka to, i ciernista wędrówka ten żywot... nie platoniczne ideały, ale trudny kraj rzeczywistości leży przed tobą... nie mdłych marzeń dymem, ale ziemską siłą walczyć trzeba przeciw ziemskim burzom.

„Kocham ją... i czy to nie dość?

„Nie Auguście... zapewne piękna to rzecz, i wiele mogą uniesienia, teoryje cnót — mądrości... ale w dzisiejszym porządku rzeczy, tę siłę życia — to szczęście — tę swobodę, — jedynie materjalne środki — majątek, stworzyć ci może. — Tylko człowiek, któryby przy moralnéj poczciwości mógł ci zapewnić ziemski byt, do jakiego z urodzenia masz prawo, — podzielić się z tobą stanem i majątkiem, coby cię podniosł — wykupił z sfery boleści i cierni powszedniego życia, otrzyma z dłoni moich z twą ręką ojcowskie błogosławieństwo. — Jakieś moja jedyna pociecha — jak pragnę szczęścia twego — tylko taki.”

„Ja będę takim panie hrabio.”

„Ojcze — ah z tobą — z nim... mnie wszystko obfitością i szczęściem!...” —

„Panie! z Bożéj łaski i twéj opieki, mam kilkanaście tysięcy w zbożu — dobrą dzierżawę — dziesięć palców — głowę i serce

poczciwe, z niemi ufam — że w spokoju i pogodzie przepłyniem z tym aniołem one ciernie i odmęty, których się tak lękasz."

„Auguście — jam ojcem jest, nie panem mego dziecięcia, — jego szczęście -- nie własne grymasy celem mojego życia... Ale jestem starcem, — nie szaleńcem z różowemi szkłami na oczach, — a patrzę na świat jako jest. - Jeśli moja jedynaczka widzi w tobie swe szczęście, — ja mam prawo żądać jego rękojmi.

„A mójże honor — i poczciwe znane panu życie -- są niczem?"

„Są mnóstwem... ale nie wszystkiem. — Człowiek — to sternik, — ale niestety jego zasoby materjalne, majątek w dzisiejszych roboczych czasach, łodzią są dlań jedyną, którą swobodny — szczęśliwy, — przepłynąć może to życie. Otóż biegłym jesteś, i prawym sternikiem panie Auguście... Bóg ci zapłać" -- ciął poczciwie, z szlachecka — „ale twoja łódka drobna dziś jeszcze i wątła, — nie dźwignie ciężaru który chcesz wziąść na nią — i utonie w pierwszém tchnieniu burzy!... Panie Auguście, a przecież ten ciężar jest wszystkiem niebem starca!" (kończył całując w czoło dziewczynę:) „wzmocnij łódź twoję — ha... kto wie... Ale dzisiaj, jakem ojciec, nie wydam krwi mojéj na biedę i potyrankę po świecie."

„Ojcze — dobry ojcze... nam tak niewiele potrzeba!"

„Panie! zlituj się — nie zabijaj mego szczęścia!

„Biedne dzieci... ha... Bóg widzi" — zaczynał tkliwie stary — i uciął na chwilkę... „gdybyś Auguście miał przynajmniéj jaką ziemską własność... dziedzictwo."

„Dziedzictwo!" — krzyknął w potopie radości młodzieniec; — „Dziedzictwo!... Ojcze drogi" i porwał innym — pełnym męskości i potęgi tonem: — „trzymam cię za słowo prawego człowieka. — W trzy dni Wola będzie moją własnością... wtedy — i tyś moja aniele... moje ty szczęście — na wieki!"

A Hrabia znów dziwnie zgroźniał... chciał coś bęknąć i osłupiał jak nagle zagrzęzły w bagnisku.

„A jeśli nie?" mruknął nareszcie machinalnie — splątano.

„To za trzy dni zwrócę ci ojcze twoje słowo poczciwie jak wziąłem go... kończył młodzian ponuro, złowrogo... „i... i... umrę."

„O milcz — milcz z tem, przez Boga... Auguście... Boże ... ojcze... nie! nie... wszak to żart? żart tylko to słowo!”

„Żart — żart najdroższa... a ty już mi płaczesz? Ewelino — o! utul się i posłuchaj: — jutro sprzedaję wszystko moje zboże, które jak wieś nabyłem na spekulacją... Dziedzic dzisiejszy Woli, zrujnowane paniątko — prosi za nią na miłość boską o pięćdziesiąt tysięcy złp. — za trzy dni będą w jego kieszeni... i tyś moja aniele.. Bóg z nami!”

„Bóg z nami” — wyjąkało dziewczątko z bladych usteczek, ale czegoś smutnie — mglisto... I jak jéj nie wzdychać, nie smutnieć, kiedy patrzy w przyszłość jak na błyskawicę... ah! lecz czy to na pogodę, czy to na gromy... kto jéj wywróży?

„Więc dziś żegnam” — zaczął znów Hrabia, po trzeci raz z dziwnego zmieszania przychodząc do siebie.

„Do widzenia ojcze — ale twe słowo?

„Moje słowo święte, jako słowo chrześcijańskiego pana, — Auguście, ale i ty pomnij — słowo za słowo.”

„Jak śmierć za śmierć” brzęknął ponuro młody; — a potém rączéj poskoczył ku dziewczątku — potem jeszcze żwawiéj pochwycił śliczną rączkę... i pieścił ognisto — i serdecznie całował... A i dziewcze nie spuściło oczu, tylko otwarto pogodnie pojrzało w zrenice lubemu, a w oném pojrzeniu całe przepaście pięknéj duszy grały.

„Auguście — „na ziemi lub w niebie!” — wyrzekła powoli — i tęschno — i poważnie na społy; — niby głosem cmentarnego dzwonu — niby uroczystym tonem przysięgi...

„Za trzy dni!” — huknął urwisto młodzieniec... zwyczajnie jak młody, co to świat wszystek zda mu się drgać w dłoni... Bądź zdrowa! i raz jeszcze pocałował w rączkę... Raz jeszcze staremu dłoń wywiędłą ścisnął. — Na paluszek lubéj wbił złotą obrączkę. Bądź zdrowa! bądź zdrowa! — i ku borom świsnął.

IV.

Wspaniały to pałac w téj Oblekolskiéj włości! — Jak pyszny olbrzym, na marmurowych wsparty słupach, rozsiadł się szeroko między parku ciemne otchłanie i siedzi. — To żelazny dach strojny w smukłe bastiony — to szerokie — jasne jak Hellady błonia... to wązkie, przymglone, szczytne, — jak myśl rycerza — fronty — okna — wierzeje migają z odmętu sztuczno dzikich kłębów zieleni jak zaczarowane zamczysko — król cudownych skazek — kołyska rycerzy i piękności. — Ale pożycz od lotnéj jaskółeczki skrzydeł — siądź na łódź z płowéj chmury i ciągnij nad Oblekolem... a ogarnij zrenicą cały ogromny park — bielone pałace — spichrze — składy — gotyckie baszty — kaplice... a potem rzuć okiem na sioło co gęstym drobnych lepianek obozem tuli się pod szerokie boki dworskich zabudowań, jak obóz mrówek do słonia, — potem długim, wązkim ogonem rozrzucone po dolinie między łany, między błonia biegnie het — het za wodą strugi, rzędami wpółzwalonych czarnych budek — aż póki nie utonie kędyś w boru głębiach... a rozśmiejesz się i zapłaczesz na raz! Bo ci się uwidzi, że patrzysz na aksamitny płaszcz królewski do którego zgrzebny strzęp za ogon przyszyto... na belwederskiego Apolina głowę, przy ciele ziemnego karła.

I ciężko ci się zrobi na duszy... jakbyś patrzył na onego sztukmistrza co własną dłonią dzwignął pod obłoki z nicestwa pałac perskiego Satrapy, i zdycha z głodu pod jego progami, kiedy z pysznych okien na żarcie dla pańskich psów, co dnia pół miasta wyrzucają! Cóż robić! — kiedy taka już u nas zdawien-dawna moda slepoty serc i duchów.

Niegdyś zamożni dziedzice Oblekola żyli sobie w drewnianym białym dworze, — swobodnie, poczciwie, z Bogiem przed oczami — z Bogiem w sercu, i dobrze im się działo — dobrze i gromadce. — Aż djabeł wyjrzał z piekła — pozazdrościł — skrzywił się — machnął kozła nad szczęśliwą słobodą, przedzierżgnął w francuzkiego

wysztafirkowanego Conta, jakieś tam cudzoziemskie łotrze, i spadł jak dżuma na biały dwór Oblekolski.

A w Oblekolu, na poczciwéj ojców spuściźnie, siedział za onych czasów dwudziestoletni jedynak, — pan całą gębą i z rodu i z worka, ale z głowy i z poczciwości to pono wierutny wisus. — Serce miał dość dobre, aleć dobrych serc, to jak powszednich śmieci na téj ziemi, — a mimo to na ziemi nie lepiéj, bo nie ma wedle dobrego serca, dobréj wiary — dobrego sumienia — i jasnéj światłości w mózgu.

Jak też francuzkie łotrze chwyciło poczciwą duszę w swe pazurki, tak i zrobiło zeń drugi swój konterfekcik, — gorzéj stokroć... swoje pomiotło.

Wieś za wioską, z rodzinnego mienia leciała między ludzi jak grad — zacność za zacnością gasła w piersi — grosz za groszem, chudoba za chudobą w białych niegdy chatkach włościan... ale pod niebo wznosiły się za to pyszne pałace — i angielskie parki... ale paryzkie aktorki jaśniały za to w brylantach... ale czara życia szumiała co raz nowym haustem rozpusty — złéj wiary i głupstwa.

Tak grał panicz lat kilkanaście... aż spadł na jednę wioskę... aż skończył — choć nie wart tego — w domu miłosierdzia.

Wieś i pałace nabył pan nowy — i człowiek jak nazywają nowy, — choć jego praojce tak się dobrze jak i drudzy Patryjarchów bożego ludu dziedzice z Adama, przez Jakóba, Judę i t. d. rodziły... Lecz przezwisko niech zostanie choćby dla przezwiska...

Ale cóż to za réjwachy — co za tartas dziś w marmurowym pałacu? Czy kto licznéj zgrai jego mieszkańców pieprzu nasypał za skórę, czy zagorzeli dziwnem szaleństwem? Od samego świtu, wyzłocony tłum fagasów, lata — wiruje — kręci się jak opętanych piekielna heca — od świtu sześciu kucharzy smażą sobie mózgi u ognistych kominów, nad wymyslaniem coraz wytworniejszych łakoci, — szarańcza tapicerów — strzelców — służących wszelkiego kroju i pstrocizny snuje się — brzęczy po wszystkich kątach jak pszczoły przed rojeniem.

A czy to na cztery powiaty nowy dziedzic powitalną wyprawia ucztę? czy to wesele — czy pogrzebna stypa? — Bóg wié, — bo

ani gości — ani księży — ani drużbów. — Wszyscy swoi, a przecież wszyscy jak laleczki jak na wielkie dzwony.

I był człowiek wśród téj zgrai, co jednem słowem wprawił ją w war taki, jednem skinieniem ruszał nią jak wiatr falami. — Mina u niego niepoczesna — powszednia; — tak powszednia jak u tysiąców innych, którzy co dnia przewijają się przed naszemi oczami niby tysiące jednotonnych drzew w lesie — tysiąc jednolitych ziół na łanie... a oko nawet nie ma oprzeć się na czem, tak są w odosobnieniu swem pospolici — w swéj pospolitości bezbarwni.

Wzrost dość średni — czoło dość niskie — nos dość spłaszczony — zadarty — usta dość spore — oczy... nie, oczki tylko, zielonawo bure, które tyle wyrażały dowcipnego sprytu — lisiego ognia, tak znamionującego spekulacyjne ale nie filozoficzne głowy; włosy jego tak nadobnie w trefne wełniły się fałdki, że pierwszy rzut oka na tę twarz — jak pierwszy rzut oka na dyplom, wystarczał by odkryć w nim starożytne szlachectwo od Abrahama. — Lat mógł mieć 45 do 50 — o ile na tak powszedniéj figurze czas odbija bruzdy kół swego rydwanu, — usta wciąż na teraz miałkim uśmiechem zadowolenia okryte... czoło wciąż chmurami wewnętrznych marszczące się myśli, — ubior wyszukany, modny, jak scenicznego eleganta. — Nakrzyczał — nawrzeszczał, nahałasił już tyle od samego rana, że ochrypły rzucił się jak umęczony na aksamitną sofę — i mrząc od kwadransa, rozważał z lubym uśmiechem w zwierciadlannéj ścianie wdzięki swego buziaka, a dychał jak ogar po milowym gonie.

A cała ta postać, gdybyś ją ujrzał, mówiła wielkim głosem: — Ah jakim szczęśliwy żem kontent!... Uderzyla piąta godzina po południu; — i wraz z ostatnim odbrzękiem zegarów, wypadł rozkaz z zwierciadlanéj onéj sali, — i wszystko w pałacu zagłuchło jak w grobie. — Złotobarwna czereda rozsypała się po sieniach i przedpokojach — mglisty całun oczekiwania pokrył sprzęty, ludzi i salony.

I cicho tak było z kwadrans — jak dotąd zwykle bywało — jakby żaden wystrzał nagły, nie przerwał powszedniego toku życia co płynął co dnia cichym strumieniem wedle tych ścian. — Aż i

cichość się skończyła.—Jak nieprzyjacielska bomba kiedy wśród nocy — ni ztąd ni z owąd wpadnie w wojenny obóz — i w mgnieniu wszystko wywróci do góry nogami, tak gdy w sień pałacową wbiegł bez tchu zapyrzony jak piwonija poczciwy nasz Chaim Pilicer, wszystko zadrgnęło — zakipiało -- gruchnęło waru powodzią, jak staw spokojny gdy orkan nań wpadnie.

Ale żyd niby pyszny paropływ, w grodeturowym łapserdaku — aksamitowéj krymce - in fiokis... bobrową czapką wzniesioną na ręce, prując niby kominem powietrzne fale, na wiatry nie dba —burz się szumu nie trwoży... tylko jak działowy granat pędzi błyskawicą z progu na próg, z salonu w salon, — aż jak granat wpadł do zwierciadlanego buduaru, pojrzał przed siebie — zapyrzył się jeszcze ogniściej — i jak granat pęknął przed samym baronem — wielkim okrzykiem: „Jedzie.!!"

„Jedzie!" — odbił jak echo strzału, zrywając się gospodarz... a twarz jego nie wiele ustępowała żydowskiemu karmazynowi. — Potém jak kula skoczył do okna — patrzył chwilę na tuman kurzawy, co wlókł się gdzieś po gościńcu — potém krzyknął raz jeszcze — „Jedzie!" --poszarpnął z całych sił za jedwabny sznur dzwonka, i jak kula przyskoczył do żydowina.

„Chaimku — kochany Chaimku... ratuj mnie teraz!"

„JW. baron się topi?"... odbił z głupia frant faktorek.

„Gorzéj jak topię... wolałbym się utopić sto razy!... mój Chaimku... bo ja rozum tracę...

„No — co to rozum? — taki wielki delikatny JW. rozum jak JW. baron — i stracować?... ej pfe.!"

„Ale bo cóż ja pocznę?"

„Nic począć — bo już wsistko zrobione; tylko fein zgalantować pannie... ślub i kwity..."

„To też co mnie zabija — galantować... ale jak zacząć?... ja nigdy nie byłem w takiém położeniu."

„Nu i co to trudne na taki ślicny Jaśnie pański spryt, jak JW. baron?... No i co to panna?... to jak Jaśnie pan wie — jak to bywało - gość w sklepie. — Ino gościowi chwali się towar, to gość to-

war kupi—a pannie chwalić ją samą, to panna kupca kupi... No i co to trudne?"...

„Ależ jak chwalić?"

„Nu jak chwalić?... a jak się to mówi duserem... komplimenciem... no juści tak cichutko—psyt... psyt... psyt... I żyd rozwdzięczył się jak małpa do swego portreciku w zwierciadle.—„Ah!... jakie psieślicne te oczy u panna!... ah jaki brew!... a to cyste jak lilije fein!... Ah jaki ja niescęśliwy w moich kochających affekciech!... ah!..." no i tak dalej — jak to pan baron sam znać kiedy się kochajom..."

Wtém wpadł cały czarno ustrojon jak szatanik kamerdyner.

„JW. baron."

„Aha!... W. Ber... w moim pałacu wszystko gotowe?"

„Do usług JW. barona—wszystko."

„Moi ludzie—moi strzelcy... na stanowiskach? moje dżokeje czy ubrane?... wszystko—wszystko moje..."

„Wszystko... aż do usług naszych, — i wszystko pójdzie jak z płatka... nikt nie pojmie, ani się domyśli."

„Idź... idź więc mój Berusiu... no idź... tylko prędko —tylko prędko..."

„Gdzie Jaśnie panie.?"

„Tam.,. tam... no tam!... gdzie chcesz... byle do moich... tylko prędko... na miłość boską... ah prędko... prędko..."

I sam skoczyl do fagasa — i prawie ze łzami wypchnął go za drzwi.

„No jakże?... a moje salony—no jakże?... mój pałac — moje bogactwa... wszystko — wszystko to moje... no jakże kochany Chaimku.?"

„Nu jak sam Eden!—a toć gdzie JW. baron stąpnie—tam Eden... tam cieszą się płakający, i pięknieją brzydcy!" i żyd kłaniał się jak marjonetka.

„A ona?... a ja?... no jakże — czy zajmujący? — czy skonkietuję?..."

„Co skonkietywać? co mi zajmujący?... Aj waj!... a to sporżić na JW. baron—i rozpłynąć się miłością aż pfe!... Ja sam—żebym

tyle ścięścio na moich dzieciów miał, jak prawdę gadam... żebym był panna hrabiankes... ej J. W. panie... ej... bo coś powiem głupstwo...

„No no filucie... no.. no..." Bąkał rozdobruchany baron, szarpiąc żyda za brodę — a wzrokiem z pod oka strzelał ku zwierciadłu.

„Dziesięć tysięcy jak szkło w godzinę po ślubie z hrabianką Poraj... dziesięć tysięcy jak obszył faktornego... a co Chaimku?..."

„JW. baron taki straśnie dobry na biednego rżidek... co aż mi serce wielkim głosem płacze... Wnuki moi wnuki, lędźwi moi... będą błogosławić...

A wtém W. Ber wszedł szybko — ale poważnie — zimno — urzędowo.

„JW. baronie — hrabia Poraj... jadąc przez wieś wraz z córką koczem, miał nieszczęście złamać oś, pod samą bramą parku... I teraz, jako sąsiada — prosi o pomoc.

„Horst du?... a jak ja gadał, — co on sam gadał?!..." zapiał żyd z wzniesionym palcem — z zmrużonemi od blasków trijumfu oczami — jak kogut że na płot wyskoczył.

„Biegnąć... biegnąć... lecieć!... ludzie moje... konie moje... pojazd mój... kapelusz!... gdzie kapelusz... kapelusz, łotry!... wytoczyć kapelusz... podać pojazd... pojazd łotry... pojazd!... kapelusz!..." Krzyczał baron jak w konwulsyjach, i pędził co tchu przez wszystkie salony — ogarniając się po drodze coraz rosnącym tłumem liberyi, jak lawina szwajcarska śniegami.

Aż z gołą głową — rozwianémi włosy, jak upiór wyskoczył do sieni... aż jak strzała kopnął ku bramie, a za nim cała pstra chmura służbowa.

Żyd tylko jeden wśród zgiełku zimny — spokojny, został w salonie na piętrze, jak czarny słup u okna — i jak czarna skała nad morską topielą, patrzył z wysoka, chłodno — bezchmurno — pyszno na war ów kipiący pod jego nogami. To jego dzieło!...

„Dreizen Tausend macht Zwanzig — nachter Achzig — Hundert!... rachował tylko zimno — powoli... i niedziwota. Żyd ślepy jak ska-

ła nie widział nic w mrocznych toniach przyszłości, prócz swoich szeregów tysięcy, co błyszczały mu z mroków, jak gwiazd szeregi w niebios oceanie.

Aż dojrzał czwałem biegnącego barona; —i kiwnął w bok głową trzy razy--trzy razy skrzywił się i splunął jak na trefne.

„Ach wej—co on ten Berek za głupi!... a choćby on sto latów był panem baronem... to za sto latów nie będzie panem baronem!... A to kiepski strach... pfe... pfe... pfe... kiepski strach... i tak lecować?... pfe - pfe--pfe... a gdzie politykes?... a co on mi za pan?... choć w pałaciech siedzi?”... i kiwał głową zgorszony — i odszedł i zginął w sal labiryncie.

A jaka tam potém była pomoc sąsiedżka barona? — jak tam potém prosił i prosił usilnie, by jego piękny pałac zaszczycili swą bytnością?— jak tam potém niby à l'improviste, suto gościł, fetował śliczną swego serca królowę... roztaczał, puszył przed nią niby jędór, wszystkiemi bogactwy—ludźmi, końmi, pojazdami, psiarnią nawet — jak w końcu najdowcipniej rozwdzięczony w koperczakach, repetował żydowską lekcyję romansu... barwiąc ją kolorytem własnéj zgrabnéj osobistości... domyślcie się mili państwo.

V.

„Ah kochana cioteczko — ledwo oddycham... ha!... ha!... ha!... Otóż mi nowy złoto-szary Adonis, wedle najświeższych pojęć XIX-go wieku... ha! ha! ha!” — świegotała jak czeczotka śliczna Ewelina, kiedy po powrocie z dziwnéj przejażdżki, — która kończyła się dziwniejszym wypadkiem—i najdziwniejszą wizytą u barona Frosnera w Oblekole, wbiegła między starego hrabię i starą ciotunię, którzy po zwyczaju siedząc pod pyszną lipą na Międzyleskiém podwórzu, nie po zwyczaju poważnie i głęboko o czémś rozprawiali.

„Rostrzepańcze.” — mruknął hrabia niby żartem ale z cierpka. — Nie w sztos mu coś była swobodna złośliwość dziewczęcia.

„Nie wnioskuj zawcześnie... bonne mine ne fait bon fruit." zabrzęczał arystokratycznie wysznurowany dyszkancik ciotuni, niższy od skrzypcowéj kwinty.

„Daruj papo"—porwało dziewcze pieszcząc rękę starego — „ależ bo przedziwna jest ta jerozolimska—parawanowa facijata,—sztywna jak wykrochmalony kołnierzyk..."

„Ależ ma chére."

„No—no—proszę—co tu satyry."

„A jaki lukrecjowo dowcipny!... Wystaw sobie ciotenko, zaczął coś prawić trzy po trzy o kobietach, gatunkując biedactwa, jak ongi mussliny w sklepie... Jam mu coś odrzekła ni to, ni owo, — a on nuż dopiero wypalił komplementem:—Ah! Polki między damami, to jak dukaty w bilionie!... ha! ha! ha!..."

Starzy oboje radziby z serca parskęli śmiechem, ale na sercach—na myśli raczej, coś inne im tam siedzieć musiało, bo oboje śmiech zdusili na pół widnem skrzywieniem, a hrabia zaczął:

„A ty zapewne niegrzecznością odbiłaś grzeczność barona."

„Jakto papo?"

„Ot śmiechem jak teraz."

„Nieinaczéj. —Aby płakać nad śmiesznością, trzeba mieć więcéj niż ośmnaście lat. Zresztą, malutka złość przyszła mi do głowy, i wybornie się jego kosztem zabawiłam."

„Cóż — cóż takiego?... ah parles donc mignone!... ozwała się szumnym potokiem dyszkantu, cnota córek Ewy w poczciwej ciotuni.

„Nic—ot tak też sobie chciałam doświadczyć natężenia jego silni mózgowéj, i zagadłam go naiwnie nawiasem:—jak ja też znów między Polkami wyglądam?"

„A on?"

„Nadął czerwony buziak jak balon... łypnął trzy razy z góry na dół buremi oczkami... ale tkliwie—aż mnie zemdliło... i myślałam że uleci pod sufit... a on tylko odbił z abbellardowskiém westchnieniem—niby skrzyp starych zawias:— Jak dublon... jak dublonów tysiąc między dukatów czernią!..."

„Petite malitieuse!”

„Ewelino — nie sądź — nie będziesz sądzoną... Nie każdemu Bóg dał piękne i gładkie oblicze. Zresztą ciało, to marna skorupa, ale w nim!!...

„U barona to pewno ślimak miasto duszy... przebrzydły czosnek!...”

„Dziecię — minęły te wieki, kiedy mniejszy lub większy szereg przodków, stanowił zacność człowieka...”

„Ojcze co to znaczy?... Pierwszy raz słyszę cię objawiającego podobne myśli?...

„Bo... bo... bo...” jąkał hrabia—jak ułowiony w własną matnię— „bo pierwszy raz przemawiam do ciebie nie jako do dziecka. — Tak — dumnym być trzeba z świetnego rodu... mieć czucie zacności krwi co płynie w żyłach naszych—ale i wiedzieć że... że i zacności krwi co płynie w żyłach naszych,—ale i wiedzieć, że... że jest szlachetnością...” I plątał biedak swe rozumowo-moralne uwagi, chcąc z ognia i z wody ulepić nowy elemencik, i wyskoczyć po nim z labiryntu, w który go śmiałe pytanie córki wtrąciło. I wyczerpał wszystkie swéj loiki potęgi—i już osiadł na koszu... kiedy poczciwa siostrzyczka wyrwała go z toni, wtrącając z dewociją oklepanym ogólnikiem.

„Dziś dzięki słońcu cywilizacyi, każdego szanują wedle jego...”

„Kieszeni, chcesz rzec ciociu...”

„Na świecie tak może”... podjął żywiéj hrabia, ale nie u nas— nie u nas — Z wewnętrznej wartości moja panno — z pięknéj duszy—z przekonania wnioskujemy o człowieku, nie z oczu— miny— włosów, lub bezsensowéj namiętnostki, jak wasze przesycone niestworzoną exaltaciją serduszka. — A baron—daruj—lecz pod wszystkiemi względami wart naszego szacunku.

„Du reste i baron”... dobiła cieniuchno ciotuuia na tę samą nutę.

„Tak! baron — ale z owych, co król Dawid jeszcze rozdał im nad-jordańskich baronij. Zresztą, nie jestem amatorką żadnéj, tém bardziéj tak zapadłéj heraldyki” — kończyła dziewica niby je-

szcze w żarcie, ale ton jéj dziwnie zjędrniał—zpoważniał—nawet posmutniał. Biedna — zaczęła odgrzebywać rzetelną myśl, która tkwiła zakopana w surowych uwagach, i wymierzonéj pochwale ojca i ciotuni, — i dziecinna swoboda zgasła z jéj ustek i ocząt — i myśli, jak gwiazdka przed szarą mgłą.

„Ale baron ma cent mille florins de rente”... podjęła znów ciotunia.

„Aha!... o teraz nie dziwię się, że tak prawy — tak zacny... Sto tysięcy dochodu... ah jakże on cnotliwy!...

„Proszę! bardzo proszę panno Ewelino, mniej dowcipu, mówiąc o ludziach, których nie rozumiesz.”

„Daruj papo—zapomniałam się... zresztą jestem za młoda, abym surową cnotę zakopaną, w śmieszności sądziła. Pan baron ze stem tysięcy dochodu, może być najpoczciwszym człowiekiem, ale razem z swymi dochodami — bilionem i złotem, obchodzi mnie tyle, co milijony innych bliźnich, ruszających się codzień w około”...

„Zachcenia serca—dziecinne mdłe mary — niewczesne romansowe wyskoki, zamilknąć winny, gdy o wszystkę przyszłość życia gra idzie. Zimny rozsądek tu królem,” — zagadał hrabia wpadając ni z tąd ni z owąd, w inny poważny ton, niby z głęboka, z daleka chciał ukazać rzetelną myśl swoję.

„Tak, rozsądek — rozsądek” — oddźwiękła jak cienka struna ciotunia.

A Ewelina powstała... i dziwnie jéj dziewiczo-dziecięca, prawie różana twarzyczka, rosła—potężniała wolą ducha w świetne oblicze kobiety, w pełni życia... Zdało się że i wzrost jéj przybył — i oczy z gwiazdek w słońca się rozwinęły—i ciało zokrąglało do tych pysznych kształtów kobiety-bogini, co taką uroczą spaniałością świecą z posągów sztuki starej Grecyi, tak świętym blaskiem wieją z boskich madonn Rafaela... A to nie oczy były,—nie wzrost, ani ciało — tylko duch, co tak niebiańsko wywinął się z głębin mieszkania swego—wyjrzał na świat jawu w pełnej swego bóstwa światłości.

Powstała - pogodną—rzewną źrenicą potoczyła po obojgu starych, a w źrenicy grał cały ogień uczucia — i wszystka moc woli — i

wszystek smutek rzewności — złożyła białe rączki jak do pacierza, do przysięgi...

„Ojcze!” — aż podniosła uroczysto — niby modlitwę.

„Słyszałam dawno myśl błądzącą w twych okolicznych niby wyrazach, i nie chciałam jéj zrozumiéć. Ale teraz... teraz za jasno ją odsłoniłeś. Ojcze—przed kilką godzinami przyrzekłeś mi ziścić moje jedyne na ziemi szczęście, — ojcowską ręką pobłogosławić głosowi Boga, który ozwał się w naszych sercach, bo tak czuję miłość naszą... i już za trochę złota chcesz sprzedać swoje słowo i dziecię jedyne!... Ojcze najdroższy! słuchaj mnie. Kocham Augusta... a jak go kocham?—jeżeli pragniesz życia twéj jedynaczki, nie chciéj badać głębi mojej miłości... nie wystawiaj jéj na próbę!... Augusta tylko będę żoną — albo niczyją!... oto moje ostatnie słowo.”

„A moje ostatnie było”... podjął taillerandowskim tonem hrabia—„ujrzymy to za trzy dni. —Boś ty młodziuchna—niewinna jak kwiatek—a jam twój stary ojciec — rozbitek w burzach żywota.— Jakem twój ojciec, mówię po raz drugi, twojéj przyszłości w lada dłoń szaleńca, nierozważnie na burze i rozbicia nie wydam! — bom cierpiał dziecko—cierpiałem srogo... a ciebie kocham!..”

„Ojcze — ojcze najdroższy!” zakwiliło dziewcze, i jak przylepka padło na piersi starca.

„Chciałaś — zgodziłem się z twą wolą. Jeśli August w trzech dniach okaże swój majątek w nieruchomości, abym w spokoju zawarł powieki, iż méj krwi na urągowisko losom nie rzuciłem, — za trzy dni zmienicie obrączki.—Inaczéj... Ewelino jesteś dobrą córką, z moją wolą zgodzić się winnaś.— Zresztą nie ja, ale on sam tak postanowił.”

„Dobrze” — odrzekło dziewcze chłodno — stanowczo, niby jakaś nowa myśl nagle wykwitła w jéj główce — upuściło na zimną rękę ojca serdeczny pocałunek — i stałym równym krokiem odeszło w głąb ogrodu. — Biała sukienka chwiała się jeszcze chwilę między drzew zielenią, aż i rozchwiała i zgasła w gęstwinie. — Stary hrabia i stara hrabianka zostali sami i milczeli, każde poswojemu rozwikłając myślą co to było i co daléj będzie?.

„Nic to — nic mon Adolphe! — aż przerwała ciotunia, „zwyczajna gorączka de jeunes gens... mais ça passera z czasem... jego tylko zyskajmy, a piękna nasza Ewelina zakróluje w Oblekolskich pałacach. — O niepotrzeba jak i ja, pamiętasz... oj niedawno... tego blondyna z błękitnemi oczami à Paris."

„Aha przed dwudziestu laty."

„Malhonnet."

„Coś za nim chciała ulecieć jak motyl, na dół z pierwszego piętra... szczęściem tylko."

„Vous étes impertinent Adolph!" zabrzęczała rozrumieniona jak siniak dziewicza niewinność w hrabiance... i z gracią błotnéj nimfy uderzyła wachlarzem po ręce niegrzecznego braciszka... „Vous me faites."

„I ona zapomni" — przerwał w swojem tylko zatopiony hrabia.

„Oh zapomni! ma parole d'une femme! Rozłączmy tylko ten mesaliance,—le temps fera le reste, et 100,000 de rente."

Hrabia chciał coś odbić, w tém przez bramę wpadł, znów jak granat Chaim Pilicer — i szybko, posuwisto ciął prosto do dworu.— A twarz dziwnie mu zdłużała... obłąkane oczy stały wryto, bez światła, jak dwa opalowe kamyki, — broda i włosy rozwiane pędem, wiochały się na wszystkie strony jak stara strzecha z wiatrami.

Hrabia żyda obaczył — i dojrzał twarz jego — i pejsaki i oczy i coś nadzwyczajne plątające niemi — więc wbrew wszystkiemu hrabskiemu życiu postąpił kilka kroków naprzeciw.

Oj duma zgaśnie... przyjaźń przeminie... miłość, czasu potoki rozwieją... ale interes zawsze interesem.

A żyd ani się giął do równoległéj, ani jasnościami z pokornem czołem sypał, tylko jeszcze nie dobiegł ku hrabiemu, a już zdala drżącym, przeraźliwym głosem rzucił pytanie.

„Cy go to prawda?

„Co takiego — co tobie?"

„No co? juści nie co — tylko to ...moje trzy tysiąców... moje dziesięć tysiąców... aj waj! aj waj! jaśnie hrabio! cy go to prawda? takie kiepskie głupstwo! aj wej! i zrobiować JW. cy go to prawda?

klepał żyd jak trajkotka z pluciem i psztykaniem niby z janczarską muzyką przechodząc całą klawijaturę głosów, a dobił prawie bachórzym płaczem. — A hrabi więcéj słów nie trzeba... pojął płacz żyda, — a z płaczu znać cały tok dalszego postępowania, więc stanął — i krótko — węzłowato, ale z chmurą odbił „Prawda"

„I Jaśnie Baron już za trzy dni tym huncwockim przipadkiem nie rżenić z JW. Hrabianką? prawda?

„Nie prawda?"

I żyd jakby zmartwychwstał lub wyskoczył z topieli...

„Nie prawda... to nie prawda!... A na co go ten goim filis August na Wolę kipuje na trzy dni? I nie prawda? Ej J. Wielmożny! jaśnie najjaśniéj Hrabio... i moje drejzen Tausend... i moje... ej... ej Jaśnie! —i roziskrzonemi oczyma, drżąc jak osika, ledwo nie połykał Hrabiego.

„Drei Tausend będą — i moja córka będzie baronową, tylko!" i stary lis zniżył mowę do ponurego mruku. — „tylko panie Chaim trzeba zrobić, iżby za trzy dni Pan August Woli nie kupił."

„A za co on go kipić ma?

„Za zboże, które nabył od dwóch lat na spekulacyją, a jutro na złoto i banknoty warszawskich żydów przetopi. Rozumiesz? za spichrze, — za stodoły — magazyny — owczarnie...

„Za stodol — magazynes—owczarnes!... odmrukiwał żyd utopiony sam w sobie, niby głos z pod mogiły zaklętéj duszy.

„Chaim... On Woli kupić nie może" podjął grobowo Hrabia.

„On Woli nie kupić... mój glow... i rąk!"—zawył z piekielnym uśmiechem żydowin, a bladą twarz jego, niby łuna szatańskich dziedzin owionęła.

„Jak" zaczynał znów ponuro — mglisto hrabia... i urwał stromo, przeraźliwie, — jak ostatnie słowo przed zgonem, — zadrgnął i żyd zadrgnął także... Jezus Marja! czy przed widmem?

Ah przed widmem, ale w anielskie uwitem ciało... toć anieli widmami są dla djabłów...

To Ewelina—smukła, podniesiona, wybladła jak marmurowy posąg... jak sumienie nad snami grzesznika stała kamienno — martwo — bez ruchu o trzy kroki za nimi. — Tylko łabędzie piersi

wznosiły się faliściéj pod białą sukienką — tylko w wytężonych zrenicach dziwny szumiał zamęt światła i ciemności — tylko po bladéj twarzyczce przeraźliwy palił się wyraz pojętności, grozy — i smutku.

„Nie kupi mój Pilicer, bo drogo mu zaceniłem... po dziesięć złotych z sztuki!... zagadał w tem ni ztąd ni z owąd powszednim tonem hrabia — ale w głosie jego, coś dziwne drżało jeszcze — niby echo pogrzebowych dzwonów w powietrznéj fali.

A i żyd w ciemie nie bity, w lot jak kameleon wrócił do codziennéj barwy, i wlot kłaniając się jak codziennie do ziemi, zadeklamował faktorskim akcentem:

„A z wielkim psieproseniem JW. Hrabia — to hunctwot — juches taki kiepski kipiec — nie rzidek ućciwy sobie... Dziesięć złotes? głupstwo — dukat głupstwo na szczęśliwą godzinę za takie przednie rzeczy... a to merynosy jeden w drugi cyste jak perlim... no co to... ja nieznam dwanaście latów? głupstwo!...” I plótł tak jeszcze długo szeroko — a głośno jak w bóżnicy — I pan hrabia głośno kazał mu iść za sobą po próbki — i poszli gwarząc i znikli w bielonéj sieni.

Co się tam daléj robiło? Bóg wie... bo hrabia na klucz zamknął drzwi swego gabinetu. — Dość że dobre robić się nie musiało, bo prawy z poczciwym czynem, i z Bogiem nad sobą, nie kryje się przed ludźmi, ani przed dzienną jasnością.

Dziewcze chwilę stało jeszcze... patrząc osłupiale — jaskrawo za odchodzącymi — aż nagle siwe zamglone oczka, zalała cala fala gorących łez... i frunęła jak ptaszek w zielony ogród... frunęła płakać... modlić się... i marzyć!...

VI.

Cicha była noc majowa. — Modro-ciemne niebo gwiazd mrzącą przyrzucone siecią, wisiało nad ziemią, jak pierwsze półsenne

marzenia nad duszą młodego wieszcza. — Wszystko spało — okrom słowików w gąszczu nad strumieniem — żab po zamglonych okolicznych wodach — i dwóch osób w międzyleskim dworze.

A był to stary hrabia i Ewelina.

Oboje czuwali — oboje bez wiedzy o sobie wyszli na wzgórek srebrnolistną osuty brzeziną, tuż tuż podle ścian dworu, i oboje milcząc wodzili z góry oczami po ciemnych powodzi mroku, pływającéj nad widnokręgiem. — Nie zbyt szeroki on był — ani zbyt wąski... ale nadobny o wschodzie słońca kiedy różane światło jutrzni, lub złote dziennéj lampy promienie, oblały falami jasności kilka mil krainy, — obrzeżony z dwóch stron czarnemi łasów wstęgami, a w końcu, zaledwo nieboskłonu krańczyną. Wola— Oblekolskie parki... z dziesięć innych wsi i wiosek, pływały wtedy przed okiem po morzu zielonych łanów, pomiędzy boru lądami jak pstre wyspy po włoskiem jeziorze.

Teraz — w nocy, świat oka zwęził — obrąbił się czarną bezdennością cieni. — Ledwo niedaleki las — wieś — i dwór u stóp pagórka czarniejszémi kształty rysowały się na głębokiem tle mroku.

Dziewcze białą sukienką majaczyło już z godzinkę między siostry białe brzozy — jasnemi oczkami z godzinkę pruło ciemności, jak owe gwiazdki po wysokiem niebie... i jak gwiazdki wciąż w jedną stronę. — A w którą? zgadnijcie... juście nie ku Oblekolu. I nie dziwota... jutro zaręczyny lub... ona nie marzyła o niczém więcéj! a może i marzyła... i temu z głębi duszy wydzierały się tak ciężkie westchnienia — widne zrenice tak w srebnéj tonęły kąpieli — białe ciało tak straszne przebiegały dreszcze.

Ale stary hrabia! a czy on nawiedzony? czy jak z dwójnym wzrokiem, chodzi przez sen do miesiąca? czy przypomniał sobie inne — młodsze lata i odgrywa po raz drugi romansowe dzieje? Rosa, chłód, ciemno — a on jak ćma to obraca się niespokojnie, to znów stanie pod drzewem i stoi jak słup, jak mara... wciąż oczami i duszą i ciałem w te same, co i tamto dziewcze, na drugim brzegu, zwrócony okolice. — Ej — ej ty stary... a czy cię zdrowie mierzi, czy romantyzm nie dość lotnie sznuruje jeszcze po kościach — podagra nie dość skocznie tańczy w nodze — kaszel niedość suto

wre po piersi jak w garnku? Ej — ej!... nie lepiéj'ż było w ciepłém łóżku leżéć?...

Zapewno że nie lepiéj... kiedy stary aż kapelusz odrzucił precz z głowy, tak mu kamieniem ciężał na myśli mieszkaniu... aż czarną chustkę zerwał ze szyi — koszulę potargał w szmaty, tak go coś pod skorupą piersi niepokoi— dusi— pali!... Może to gorączka ciała?—może też duszy?

Dziewica w bieli klęczała pod brzózką — oczki zawiesiła gdzieś nad gwiazd szczytami— i modliła się jak pokutny duch na mogile. Aż westchnęła raz jeszcze—świętym krzyżem - boskiem miałem, osłoniła się przed nieznanemi przyszłości światami — powstała—i szła wprost przed siebie minut kilka.

Szła na oślep znaną ścieżką, aż wyszła z zatoki przygórza oko w oko, o krok na hrabiego. —Pojrzała — i skamieniała z trwogi — i zakrzykła przerażona, bo jej się zdało że wpadła na widmo kąpiące się w cieniach północy.

Ale i widmo coś nie z tych zwyczajnych; zamiast straszyć, samo zadrgnęło, obrzuciło się płaszczem i pędem chciało wpaść w gęstwę. Czy i on przeląkł się także?.,. Dziewcze zbudzone szelestem ludzkich kroków przejrzało, i w migotliwém nocy przycieniu, rozeznało twarz zjawiska.

„Ojcze—to ty?”—plusnął głos znany, cicho— wybitnie za uciekającym, i biedny zachwiał się raz jeszcze, jak elektryczną uderzony iskrą—pochylił naprzód—chciał biedz jeszcze dalej... w tém znać myśl inna przyskoczyła mu do głowy... stanął — jak mógł polatał obojętności wyrazem, wewnętrzną burzą rozwichrzone oblicze, i wolno—jakby nigdy nic, zwrócił się ku córce.

„A.. a... a... i panna w tém miejscu... tak późno?...” „Ojcze coś ty tu robił?” i kończyła drżąco—dziwno, natarczywie, jak skąpiec kiedy schwyta nieznanego człowieka, wijącego się bez celu niby wedle jego skarbów.

„To co i ty Welciu... wyszedłem przejść się— i moc... o... d...” jąkał stary w zmieszaniu, nie mogąc wydławić wyrazu świętokradzkiego kłamstwa.

„I uciekałeś?”

„Chciałem cię przestraszyć.”

„Ojcze... ojcze... to nie tak być musi!... ojcze coś ty tu robił?” podniosła dziewica głos nagle chwytając dłoń hrabiego, ale tak nadzwyczajnie drżącą... i tak groźnie... i tak tkliwo na poły... że staremu hrabi zdało się--iż to anioł sumienia — i anioł-duch zamęczonéj żony na raz huknęły nad potępioną głową, wyrokiem ostatecznego sądu... Drżał jak osika — wiotkie rączęta dziewczęcia paliły go jak ogniste obręcze... i milczał.

Wtém gdzieś tam w dali widnokręgu, z głębin ciemności wytrysły cztery światełka– maluchne—czerwone... jak cztery oczy wilcze--jak cztery krwawe gwiazdy...

„Ah co to?!..” krzyknęło dziewcze... jak gdyby tygrys na raz pierś jej rozdarł szponami... bo właśnie w tej chwili, niby po zwyczaju ku onym stronom oczkami pobiegło. Stary jeszcze nie zdołał odbąknąć echa odpowiedzi, a drobne gwiazdki już w cztery purpurowe wyrosły słońca — już cztery słońca rozprysły się w cztery rzeki—już potop płomieni okłębiony w sine dymu bałwany, gruchnął jak Niagary potok pod niebiosa.

„On Woli nie kupi... ojcze... podpalaczu!” krzyknęło dziewcze... tak straszliwie — pełno— rozpacznie —jaskrawo — jakby wszystko swego życia ciepło w te cztery wyrazy wtuliła. — „Mój August... Boże... ah...” donuciła słabiuchno, rozdźwięcznie jak! ostatni starganéj struny brzęk — i niby ścięty kwiatuszek osunęła się na zroszoną murawę.

„Ewelino... dziecko moje!... przez Boga... co tobie?...” Krzyczał hrabia rzucając się jak wściekły ku martwemu dziewczęciu - „Co tobie pociecho moja?... roskoszy moja... a mówże... mów... co tobie!...” i wył przeraźliwie—okropnie --i szarpał obie rączyny, a biedne rączki opadały martwo, bezwładnie, jak kawałki drewienek.

Tymczasem rozwichrzone strzępy płomieni w oddali, zlały się w jeden krwawy, zadymiony odmęt ognia.

To Wola gorzała tak suto!...

Straszliwo było!... w okół przepaść ciemnoty, czarna — głucha — bezdenna—jak przepaść przedświatowych nicości... W pośrodku on

krwawy zamek—niebotyczny—roziskrzony—owity ogromnym purpurowego blasku bałwanem... stał obrąbany, sam jeden widny wśród mroków, jak okno piekielnych czeluści. Krwawe tylko wstęgi łuny, wnikały gdzie niegdzie w ciemnoty morze — to chwiały się po czołach borów—to wichrzyły z chmurami po niebie — to roztopione w falach cieni—bladły i bladły—aż rozwiewały się w mglany-ślepy blask świtu, w pomroki nocnej głębinach.

Jeden, czerwony strumień łuny, oblał zarzucone brzozami wzgórze podle międzyleskiego dworu. I ujrzałem starca... Brzydki był jak szatan... siwe—krwią zabiegłe oczy bezświatle, szklanne, błąkały mu się pomiędzy drzew gęstwą, jak oczy warijata; – niepodobne do człeka, – zdruzgotane – zasiniałe oblicze, w czerwonéj łunie pożaru świeciło przeraźliwą bladością—niby oblicze potępieńca z piekielnych ogni. Okropny był. Białe — trupie ręce załamał nad głową, aż okrwawione kości sterczały przez skórę—źrenice wbił martwo przed siebie,—i stał kamiennie—głucho—bezwładnie, jak przed boskim sądem.

O krok—w białej sukience— leżało bledsze od śniegu dziewczątko—aniołek... oczęta zmrużyło jak do snu—główkę orzuciło za siebie jak w trumience... Tylko z sinych usteczek, płynął drobniuchny - czerwony strumyk krwi—jak strumyk łez niegdy z jéj ocząt... tylko łabędzie łono, coraz chłodło—chłodło jak w mrozie... Oh! już ono nie rozgrzeje się więcéj!... niebieskie oczka nie odbłysną do słońca, nie przyświecą lubemu!... ogniste serduszko nie odezwie się w piersi!.. Aniołek już w niebie. Ujrzała prawdziwą twarz ojca... i serce pękło jéj z żalu.

Stary stał jeszcze długo jak posąg... Potém wsparł się o drzewo... i stał tak znów aż do rana.—A rankiem przyszli ludzie i podnieśli oboje — i zanieśli jedno nie daleko — między zielone gaje na cmentarz, drugie do domu szalonych.

Starzec nie gryzł nikogo, - ani się zaciekał— ani pienił— ani warijował -- ani płakał... tylko jak stanął nad trupem córki, – tak stał prawie całe dnie i noce przez dwa lata - i milczał ponuro—groźnie — straszliwie... jakby wszystko piekliskp okrywał onego milczenia całunem.

Raz tylko po dwu-latach, otworzył skamieniałą mowę:—„Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną!”... zawył w konwulsyi — i skonał.

Co się stało z Augustem?... ja nie wiem; od pogrzebu Eweliny oko ludzkie już go nie widziało.

Mądry baron Fresner, znalazł wnet baronową... do dziś dnia żyją sobie w Oblekolskich pałacach szczęśliwi—weseli,—jak dwie żabki do słońca. *St. Ch.*

O PAPUGACH.

Rozprawa mieszcząca opisanie w menażeryi w Stryju znajdujących się papug, postrzeżenia nad obyczajami i sposobem życia tych ptaków w naszych umiarkowanych krajach, tudzież na długoletniem doświadczeniu oparty sposób hodowania, pielęgnowania, zachowania od chorób i tychże leczenia; listownie przesłana Redakcyi Przeglądu

PRZEZ

STANISŁ. KONST.

Z SIEMUSZOWEJ-PIETRUSKIEGO.

Ces. Leopold. Karol. Akademii badaczów przyrody i wielu Towarzystw uczonych członka.

PRZEDMOWA.

W obwodzie Stryjskim, u stóp gór karpackich, w Podhorodcach jest menażeria zwierząt krajowych i zagranicznych założona w ro-

ku 1833 w celu badania przyrody Karpat. Ten, chociaż szczupło wyposażony zakład, doprowadziłem do tego stopnia że prawie mieścił wszystkie galicyjskie zwierzęta, a ptaki i gady przez dłuższy lub krótszy czas posiadał. Nie jedną mi to miłą sposobność nastręczyło zrobić wiele ciekawych postrzeżeń i doświadczeń na polu zoologii krajowéj, które w różnym czasie, i w rozmaitych czasopismach wydrukowane będą rzeczywistym dowodem iż skromna Podhoredecka menażeria ze względu użyteczności około przyrodoznastwa krajowego, może większe zasługi położyła jak nie jeden podobny, lecz z daleko większym nakładem utrzymywany zakład. Pierwszym moim zamiarem było, same tylko krajowe utrzymywać zwierzęta, gdyż nigdy nie myślałem iż w tak krótkim czasie zdołam tyle żyjących istot nagromadzić i wyżywić; lecz ponieważ za pomocą wielu o postęp nauk przyrody gorliwych obywateli, którzy uniesieni szlachetnym zapałem nie przestają mój zbiór zasilać nowemi darami żyjących zwierząt, doprowadziłem takowy do wyżéj wspomnianéj doskonałości, nic mi więc nie zostaje, jak te moje badania i poszukiwania na zagraniczne rozciągnąć.

Ze wszystkich zamorskich ptaków odznacza się liczna familia papug przepyszném opierzeniem, nieporównaną łaskawością, wielką pojętnością, dziwnemi poruszeniami, a nadewszystko wysoko wykształconemi umysłowemi zdolnościami; dla tego też zawsze znajdowali i znajdują te ptaki tyle lubowników, osobliwie między zamożniejszemi w Europie, którzy osobliwie w dawniejszych czasach nie wahali się za jedną rzadką sztukę po kilkadziesiąt dukatów wyrzucać. Długowieczność tych ptaków, ułatwia żegluga przez parostatki, a nadewszystko niepojęta wytrwałość podczas tak długiego przewozu, uniewinnia to zamiłowanie osobliwie w teraźniejszych czasach gdzie prawie w każdém znaczniejszém, mieście stałego lądu, właściwi handlarze papug się znajdują, którzy ciągle się włócząc po miastach portowych, takowe od majtków, za bezcen kupując i daleko taniéj odprzedawać mogą, jak właściciele wędrujących menażerij, tak że co dawniéj kilkadziesiąt dukatów teraz za kilkadziesiąt a czasem za kilkanaście Reńskich dostać można. Z tych przyczyn dokładny na długoletniem doświadczeniu oparty sposób pielęgnowania papug w nie-

woli, okazuje się coraz potrzebniejszy, im więcéj nowych i delikatnych gatunków nam przywożą, zwłaszcza iż w żadnym Ornitologiczném dziele nic dokładnego w tym w zględzie wyczytać się nie daje. A że utrzymanie niektórych gatunków w naszych umiarkowanych krajach jest bardzo trudne, dowodzą liczne choroby i wielka śmiertelność, na którą bardzo wiele ptakow tych, osobliwie w pierwszych ich latach pobytu u nas podlega. Utrzymując tak liczny zbiór pa-h pug, uważając każdy gatunek dzień w dzień, godzina w godzinę, minuta w minutę, zebrałem mnóstwo ciekawych postrzeżeń nad obyczajami i sposobem życia tych cudzoziemców, które w niniejszém piśmie umieszczając, pewny jestem iż od Ornitologów z ukontentowaniem czytane, a od lubowników papug jako od dawna pożądany dar z podziękowaniem przyjęte będą.

Pierwiéj jednak widzę potrzebę kilka słów wspomnieć o trudnościach, które należało usunąć chcąc doprowadzić do skutku to przedsiewzięcie. Zwykle u nas w krajach oddalonych od morza, papugi chowane w pokojach zwiastują przepych, u mnie zaś nawet dostatku nie okazują; wszyscy którzy niniejszą rozprawę czytać będą zadziwią się nie mało dowiedziawszy się, iż na kupno zwierząt; utrzymanie takowych, powiększenie zbiorów Entomologicznych i Konchyliologicznych, nabywanie odpowiednich książek i t. d. przez 14 lat tylko po 225 fl. a dopiero tego roku 400 Reńskich srebrem rocznie wykładam; chcąc więc przy tak szczupłych dochodach nabywać zagraniczne ptaki, musiałem sobie ujmować pierwszych potrzeb do życia i tym to sposobem przyszedłem do zbioru zwierząt żyjących, którego na stałym lądzie żaden prywatny nie posiada, a mały kącik w Skulskich górach mający nie spełna 20 □ sążni ziemi, około 500 różnorodnych zwierząt utrzymuje gdzie i najsprzeczniejsze gatunki w dziwnéj są harmonii: Tu niedźwiedzie karpackie w sąsiedztwie susłów podolskich się rozmnażają; a dzikie i płochliwe grzywacze (columba palumbus) niedaleko od swoich najgorszych nieprzyjaciół orłów, sokołów i jastrzębiów młode wysiadują; tu siwce afrykańskie, papugi z krajowemi krukami i sojkami w naśladowaniu słów ludzkich o pierwszeństwo się ubiegają, — przeszło 100 krajowych spiewaków, swoje miłe glosy razem z przeraźliwym krzykiem przepy-

sznie ubranych Arów, Lorów i Amazonek mieszają. Tu wszystkie gatunki krajowych zmij i wężów, niedaleko im nieprzyjaznych bocianów, żórawiów i czapli utrzymywane są; nareszcie tu się chowające kuny, wydry i borsuki tak jak psy za swoim panem biegają. Jedném słowem najpiękniejszy zbiór żyjących zwierząt, tutaj jest utrzymywany najmniejszym jaki tylko bydź może kosztem, a nie jedne już piękne wydał owoce.

Pisałem w Podhorodcach w Obwodzie Stryjskim w Październiku 1847 roku.

O PAPUGACH W OGÓLNOŚCI.

Cechy charakterystyczne.

Wszystkie papugi mają dziób krótki, bardzo mocny i twardy, a przecież zawsze lekki, wyższa część mocno zakrzywiona i ruchoma, spodnia część przytępiona, a czasem na końcu trochę zakrzywiona, daleko krótsza niż wyższa, u niektórych gatunków mająca dwa ząbki jak u sokołów. Przy samém połączeniu z głową, dziób jest otoczony woskówką, nozdrza są wolne, język mięsisty, do ziarnka melonowego podobny, rozmaitego koloru, prawie zawsze suchy, wyborny organ smakowania i bardzo pomocny do wydawania najdziwniejszych głosów; u trąbkowych kakadułek w rurkę zwinięty, na końcu rozdwojony i chrząstkowaty. Nogi krotkie, mięsiste, mocne, pełne ściągań i muszkułów, palce parzyste, t. j. po 2 z przodu a po 2 z tyłu. Pazury zakrzywione, ostre, do łatwiejszego obejmowania gałęzi, jedném słowem dziób i nogi, do łażenia i spinania są stworzone. Głowa wielka, czaszka twarda, mieści w sobie wielki mózg, oczy są wielkie, żywe i pełne wyrazu, żrenica oka, ma u niektórych gatunków szczególną o ile mi się zdaje, do tego czasu przez nikogo nieuważaną własność powiększania i zmniejszania się podług woli ptaka tak jak u sów, z tą jednak różnicą, iż u tych

ostatnich będąc działaniem światła na oko, nie jest zawisłą od woli i daleko wolniej się odbywa jak u papug, u których jest dowolnem, w mgnieniu oka odbywającem się działaniem, oznaczającem z ukontentowania pochodzące przymilenie. Twarz u niektórych naga, u niektórych upierzona. Pióra, osobliwie u lotek i sterówek, twarde, suche, po największéj części błyszczące przepysznémi kolorami. Ciało u niektórych pełne, pierś szeroka i ogon krótki, u innych ciało szczupłe, pierś wązka a ogon długi. Skóra po największej części gruba, tylko u Lorów i papużek cienka. Mięso twarde, suche, a przecież pożywne; od rozmaitych owoców któremi się żywią, rozmaitego smaku, szczególniej do robienia mocnych rosołów przydatne. Krew ciemnego koloru, a wnętrze długie. Niektóre gatunki wydają z siebie wyziewy mocne i niemiłe.

Podziały Papug i miejsce które te ptaki w systematach ornitologicznych zajmować powinny.

Liczna, przeszło z 200 gatunków złożona familija papug, należy do ptaków spinających (łażących) Kletterfogel, Aves scansores. — Lineusz mieści je w swoim Systemie Przyrody w drugim rzędzie po ptakach drapieżnych, jako rodzaj swego rzędu żółn (pici). Blumenbach położył je także po drapieżnych ptakach, ale oddzieliwszy je od żołn, utworzył osobny rzęd ptaków Lekkodziobów (Levirostus). U Cuviera stanowią drugi wydział trzeciego rzędu ptaków, t. j. spinające owocożerne, (aves scansores frugivori). Papugi mają z małpami wielkie podobieństwo w obyczajach i sposobie życia. Łażenie po drzewach, spinanie się po gałęziach, dziwaczne ruchy ciała; pojętność, złośliwość, lubieżność, wszystkie te własności zbliżają je bardzo do tego rzędu zwierząt ssących, dla tego też, jak między zwierzętami ssącemi we wszystkich systemach thesologicznych na czele stoją małpy, tak też i gromadę ptaków, otwierać powinna familija papug. Virey w swojej historyi naturalnéj obyczajów i zmyślności zwierząt, był pierwszym tego zdania, i w istocie, kiedy Orangutany małpy i Pawjany, pierwszeństwo mają nad psami, kotami i niedźwiedziami, dla tego tylko, iż mają zaszczyt bydź czło-

wieczopodobne, dla czegóż więc obrzydliwe, padlinami żyjące sępy, głupie kobuzy i szkaradne sowy mają pierwsze miejsce zabierać mądrym kakadułkom, pojętnym papugom, pięknym i żywym Lorom i t. d. zwłaszcza iż ta analogia papug do małp jest tym więcéj uwagi godna, iż się spostrzegać i porównywać dają we wszystkich rodzajach tych ptaków i zwierząt. I tak: mądre kakadułki, przedstawiają orangutany, z któremi jednę ojczyznę dzielą; papugi siwe, małpy amazonki i pawijany; ta sama pojętność, złośliwość, odraza od niewoli, bojaźń rózgi, bez któréj z niemi, podobnie jak z małpami, trudno przyjść do końca. Ary amerykańskie zbliżają się do Wyjców, nadewszystko przez okropny hałas, który w lasach brazylijskich sprawia dzikość i niepojętość; piękne i żywe Lory, podobne są poniekąd w swoim sposobie życia do ładnych i ruchawych Kotowców; długoogonowe Aranki przypominają poniekąd długoogonne Natołki, Szatańce i t. d. Kuhl i Brehm którzy około uporządkowania papug największe zasługi położyli, dzielą je na 10 rodzajów, jako to:

1. *Kakadułki* (Cacatua). Dosyć wielkie, białe papugi, z ogromnym dziobem z którego, osobliwie kakadułki z czerwonym szyszakiem (c. moluccensis) nieprzyjemną woń wydają, mają piękny szyszak na głowie, wołają kakadu albo akakatua, ojczyzną, wyspy Moluckie. 4 gatunki.

2. *Trąbkowe Kakadułki.* (Probosciger) Kuhl. (Microglossus) Vicillot. Są dosyć wielkie, mają głowę mierną, czub na głowie, policzki nagie, wierzchnią część dzioba większą od spodniéj, język rurkowaty, na końcu chrząstkowaty, stanowią przejście do Arów, gdyż mają ogon daleko dłuższy jak właściwe kakadułki, i policzki nagie. 3 gatunki. Mieszkają w Indjach i Afryce.

3. *Ary*, *Ara* (Boje). Największe ze wszystkich papug, odznaczają się gołemi policzkami, bardzo długim nierównym ogonem i przepysznemi kolorami; wołają wyraźnie ara i mieszkają w Ameryce południowéj. 10 gatunków.

4. *Aranki.* (Conurus). Kuhl. Średnie lub małe papugi, łączące ary z ziemnemi i właściwemi papugami, mają szyję długą, niewielką głowę, długi ogon, policzki piórami okryte, wydają krzyk rozmaity. Ojczyzną ich jest nowy i stary świat: około 60 gatunków.

5. *Ziemne papugi.* (Pezoporus). Illiger. Mają dziób mały, nogi średnie, pazury proste, dla łatwiejszego biegania po ziemi, maść centkowata. Ojczyzna—Australija.

6. *Właściwe papugi.* (Psittacus). Są miernéj wielkości, mają mocną szeroką budowę ciała, potężne piersi, ogon mierny lub krótki, i maść rozmaitą, wydają najdziwniejsze krzyki, dzielą je na amazonki t. j. amerykańskie zielone papugi z czerwoną plamą na zgięciu skrzydła, i na właściwe papugi zielonéj lub siwéj maści bez czerwonéj plamy na zgięciu skrzydła, znajdują się w Azyi lub w Afryce, około 20 gatunków.

7. *Lory.* (Loris). Le Vaillant. Średnie i małe papugi z wąziutkim dzióbkiem, wielką głową, budowy ciała krępowatéj, piersi szerokiej, co czyni iż nóżki są bardzo oddalone, mają pióra jedwabiste, nieporównanej piękności koloru ognisto-pąsowego, z odmianą zielonozłocistą lub szafirową; wołają: lory, noira i wiwi, wir, zwir; mieszkają w Indyjach wschodnich. 10 gatunków.

8. *Papużki.* (Psittacula). Kuhl. Stworzenia malutkie, z dziobem średnim, ogonkiem krótkim śpiczastym, maści ponajwiększej części zielonej z odmianami. Ojczyzna Azyja, Afryka i Ameryka. Około 15 gatunków.

9. *Sędzioły.* (Corytaix). Stanowią przejście z papug do innych ptaków, mają gruby, bombowaty, nieco zakrzywiony dziób, czub na głowie, ogon średni i są średniej wielkości, krzyczą jak kukułki i mieszkają w Afryce.

10. *Kleszczojady.* (Musophaga). Linneusz. Z krótkim, grubym, czoło po części zakrywającym dziobem, z krótkim językiem i parzystemi palcami. Ojczyzna—Indyje.

Ojczyzna Papug.

Papugi znajdują się we wszystkich gorących podzwrotnikowych krajach 4-ch części świata, a niektóre gatunki w takiej obfitości, iż stają się dla biednych krajowców oczywistą plagą przez szkody, które wyrządzają na polach ryżowych i kukurydzowych; nasza tylko Europa, nieposiada téj ozdoby upierzonych istot; każdy kraj, każda nawet wyspa, żywi swoje właściwe gatunki, które się więcéj

nigdzie nie znajdują, i tak: Azya, rozumne kakadułki; Moluckie wyspy, zwinne i piękne lory; Afryka siwe papugi, Ameryka krzykliwe ary i uparto-złośliwe amazonki, Australija ziemne papugi i t. d.

Pobyt na wolności.

Przebywają najwięcéj w lasach i krzakach, niektóre gatunki w ogrodach około mieszkań ludzkich, za żywnością wylatują gromadnie na pola ryżowe i kukurydzowe, kakadułki z białym szyszakiem lubią się bawić około domów, papugi ziemne biegają po ziemi jak kuropatwy i t. d.

Pobyt najstosowniejszy w niewoli.

Papugi jako z ciepłych krajów pochodzące ptaki, wymagają u nas tak jak exotyczne rośliny zawsze suchego jednostajnego ciepła, osobliwie powinny bydź chronione od wiatrów i wilgoci. Po wielkich miastach gdzie przez zabudowanie kamienne wiatry nie mają dostępu i gdzie trzymane papugi na pierwszém piętrze przez opalanie dołu, drugiego piętra i pokojów przyległych, utrzymuje się zawsze sucha, jednostajna temperatura; nie potrzebują tak wielkiego ciepła jak na wsi, osobliwie w Podhorodcach u stóp gór Karpackich, gdzie chociaż powietrze nie jest tak bardzo ostre, przymuszony jestem, nie mając domu o piętrze, ptaki te na dole trzymać a tém samém daleko więcéj dla nich palić. Kto chce delikatniejsze gatunki u nas trzymać, ten musi koniecznie zaopatrzyć się w dobry ciepłomierz, dla utrzymania w lecie i w zimie jednostajnego ciepła. Temperatura pokoju w którym się rozmaite gatunki papug utrzymują, powinna bydź zawsze między 16 + ° R. a 24° R., prawda że są niektóre gatunki papug jak np. pąsowa ara (p. macao) siwa papuga (erythacus) i gwarliwe lory (Eclectus garrulus) które nie wymagają większego ciepła jak 18° R. i nawet raz przyzwyczaiwszy się do naszego klimatu, wytrzymują 1σ — 2σ R. zimna, podobnie jak owe zimą i latem na oknach mało co opalanych pokojów postawiane Kaktusy, Aloesy, które chociaż od razu nie giną, jednakże tak wyglądają że aż litość bierze; tak też i te biedne ptaki podobnie utrzymywane, rzadko dłużéj jak 3 lata u nas żyją. Przeci-

wnie zaś niektóre gatunki jak np. papuga Pennanta (p. Pennanti). papużka Wróblowata (p. Passerina) i niektóre inne bardzo wysokiego ciepła wymagają i już przy 18° R. chorują, osobliwie jeżeli na dworze wilgoć i wiatr. Co większa, jeden i ten sam gatunek jest wytrwalszy lub delikatniejszy, im z dalszéj lub bliższéj okolicy od równika pochodzi np. niebieska Ara przywieziona z Brazylii jest wytrzymalszą jak z Gujany. Ja papugi trzymam umyślnie w dla nich przyrządzonym pokoju, ten jest z 3ch stron innemi opalanemi pokojami otoczony, na wschód ma jedno dobrze zaopatrzone podwójne okno z małém okienkiem do przewietrzania; okno nie było z początku kratą żelazną obwiedzione, lecz ponieważ wolno latające papugi zaczęły ramy obgryzać, haczyki odkręcać, okno otwierać i na dwór wylatywać, musiałem więc dla ochronienia okna od zupełnego zniszczenia kratę żelazną zrobić. Drzwi są dubeltowe, dobrze zamykalne dla zachowania ciepła. Piec jest kamienny z blachą do zamykania luftów, ciepły i nie dymiący, w zimie pali się na dobę 4—5 razy, na wiosnę i w jesieni 2—3 razy a w lecie 1 raz. W lecie kiedy dzień piękny i suchy, a znajdujący się w pokoju ciepłomierz na 24° R. stoi, to można okno otworzyć a zdrowe ptaki na dwór powystawiać, w zimie zaś podczas odwilży kiedy słońce przyświeca, a wiatru nie ma, należy okienko otworzyć dla napuszczenia świeżego powietrza, tak jednak ażeby druga połowa okna naprzeciw okienka będąca, zamkniętą była, bo nie ma nic dla papug szkodliwszego jak wiatr i przeciąg. W tym pokoju utrzymują się papugi w klatkach na stole 2 łokcie od ziemi w szereg poustawianych, a ary na łatach pod sufitem zawieszonych. Klatki są 4' wysokie a 3' głębokie i szerokie, z 3 stron z mocnych dębowych tarcic a od frontu i góry z grubych żelaznych prętów zrobione. Każda taka klatka jest na 2 części podzielona które mają jednak wspólną szufladę dla umniejszenia roboty przy wyczyszczaniu; pod szufladą znajduje się druga tak iż się na przemian czyszczą a przeto żadnego smrodu w pokoju nie ma. W każdéj wyż wymienionéj przegrodzie siedzi jeden ptak który ma swoją grzędę, kółko do kołysania i osobne drzwiczki dosyć wielkie ażeby się zwyczajna gliniana miseczka zmieścić mogła. Ary i wszystkie wielkie papugi

siedzą na dębowych u powały zawieszonych 8' długich a 5" szerokich łatach, łaty są bardzo gładko obrobione a po bokach zaokrąglone, wiszą na żelaznych 2 ½' długich prętach a nad niemi jest do kołysani a przymocowane kółko. Jedzenie daje się w dołki w łacie do tego celu wydrążone, a woda w naczyńka (pijadełka) blaszane. Kogo stać, ten może utrzymywać papugi w umyślnie do tego celu przyrządzonych bardzo pięknych ale też i kosztownych tak nazwanych papuzich klatkach, w których się nadewszystko świetne Lory, prześlicznie wydają; klatki te, po wielkich miastach każdego czasu są gotowe, przy kupnie należy jednak bardzo uważać, ażeby drut był mocny i robota trwała, gdyż nie ma w całéj klassie ptaków gorszych psotników jak papugi.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

ZAMIERZONE WYDANIE RĘKOPISMÓW DANIŁOWICZA.

Zamyślając ogłosić drukiem naukową puściznę jednego z gorliwych i umiejętnych pracowników na polu dziejów i prawoznawstwa rodzinnego, sądzimy, że to przedsięwzięcie nasze, i jako hołd pogrobowy pamięci zacnego spółziomka, i jako niezbędna pomoc do zgłębienia przeszłości Litwy, znajdzie pożądane ocenienie i zachętę.

Ignacy Daniłowicz, niegdyś znakomity nauczyciel prawa krajowego w uniwersytecie Wileńskim, całe życie wyłącznie poświęcił badaniom historycznym. Mąż niezmordowanéj pracy, żelaznéj wytrwałości, zagrzany miłością przedmiotu, wsparty rozległą i wielostronną nauką; postanowił był ułożyć dzieje Litwy, opierając je na węgielnym kamieniu spółczesnych i niewątpliwych dyplomatów.

Za czasów jeszcze nauczycielstwa swojego w Wilnie, zgromadził

był ogromny skarb wiadomości z rękopismów uniwersyteckich i rozsypanych po kraju zabytków dziejowych. Częste podróże, zwiedzanie dawnych klasztorów i domów starożytnych rodzin, a więcéj, niż to wszystko, zapał akademickiéj młodzieży, która z rozmaitych zakątów Litwy ochoczo znosiła wiekowe pargaminy, albo wierne ich kopije, dozwoliły Daniłowiczowi poznać, roztrząsać i opisać wiele najszacowniejszych szczętów, które z powodzi czasu ocalały. Późniéj zbiegiem okoliczności przenoszony kolejno do uniwersytetów w Charkowie, Kijowie i Moskwie, używany do robót prawodawczych w stolicy Cesarstwa, zaszczycony ufnością i szacunkiem uczonych, zjednał sobie wstęp wolny do zbiorów rządowych, zdumiewających zamożnością najważniejszych historycznych źródeł.

Przy takiém usposobieniu, przy tak obfitych pomocach, potrafił Daniłowicz zebrać i we właściwy porządek uszykować: wiadomość o dyplomatach, odnoszących się do dziejów Litwy, poczynając od 1208, aż do zlania się Wielkiego Księztwa z Koroną Polską w 1569 roku.

Daniłowicz przeszło dwa tysiące dyplomatów przejrzał, treść z nich wyciągnął, i w krótkich, lecz dostatecznych uwagach objaśnił. Zgon nie dozwolił mu przyłożyć ostatniéj ręki do téj pracy; bo zamyślał poprzedzić ją wypisami z historyków starożytnych i roczników wieków średnich, jak świadczą liczne wyjątki, przygotowane do tego zamiaru; główny atoli przedmiot, t. j. sporządzenie treści dyplomatów, dokonane jest należycie, umiejętnie i z tak wzorową ścisłością, że niemal wszędzie, co do poznania osnowy zdarzeń, same dyplomata zastąpić może.

Dzieło tego rodzaju nieodbicie było potrzebne dla historycznego litewskiego piśmiennictwa. W krajach, gdzie wcześniéj niż u nas, krytyczne zbadanie ojczystych dziejów zajęło umysły i pióra uczonych, dawno już ukazały się te posiłkowe książki, bez których niepodobna było skutecznie poznać i określić stopnia wiary, jaką do rocznikarskich powieści przywiązywać należy. W ościennych nam księztwach: inflanckiém, kurlandzkiém i estońskiém, stan rycerski tych krajów więcéj uczynił, gdyż złożył potrzebny nakład na dosłowne przepisanie wszystkich dyplomatów, ściągających się do ich dziejów.

Ten wspaniały pomnik prawdziwie obywatelskiéj gorliwości naszych sąsiadów, umieszczony jest dziś w Rydze i dostępny każdemu, kto tylko chce pracować nad historją; wszakże aby ten zbiór jeszcze rozleglejszy sprawił pożytek, wydano na jaw: *Historyczno-Dyplomatyczny Index*, obejmujący treść wspomnianych odpisów, przez co całemu uczonemu światu rzeczywistą wyświadczono przysługę. Ogłoszenie tego *Indexu* przez Napierskiego w 1833 roku, mogło nastręczyć myśl Daniłowiczowi do podjęcia podobnejże pracy, rozpoczął ją bowiem w 1835, i ostatnie ośm lat życia poświęcił jéj dokonaniu.

Zawcześnie wydarty naukom, nie mógł Daniłowicz wydać swojego dzieła: zostawione w rękopiśmie przeszło na własność jego wdowy, i może skazane było nigdy nie ujrzeć światła, bo wymagano znacznéj nagrody za ustępstwo rękopismu, i potrzebny był spółpracownik, dostatecznie świadomy dziejów krajowych, coby sumienne przyjął uczestnictwo w obowiązkach wydawcy.

W obawie, aby nie zaginął ten owoc nauki i pracy zasłużonego męża, jeden z niżéj podpisanych, będąc przed dwoma laty z powinności urzędu w Kijowie, postarał się naprzód o nabycie rękopismu. Nie przewidywał wówczas, jak prędko będzie można przystąpić do jego wydania; lecz ani na chwilę nie wątpił, że skoro ten czas nadejdzie, dosyć będzie odwołać się do gorliwości światłych ziomków aby natychmiast pośpieszyli, jużto z naukową pomocą, już z przedpłatą, ułatwiającą nakład druku, i aby z pochopną do pięknych przedsięwzięć gotowością, podali możność doprowadzenia do skutku tak użytecznego zamiaru, jakim jest ogłoszenie pozgonnéj pracy Daniłowicza.

Jakoż, zapewniwszy sobie naukowe spółdziałanie Mikołaja Malinowskiego, postanowiliśmy obadwaj z początkiem następnego 1848 roku, zająć się wydaniem wyżéj wskazanego rękopismu, i tym końcem otwiéramy przedpłatę na dzieło: Skarbiec Dyplomatów papiezkich, cesarskich, królewskich, książęcych; uchwał narodowych; postanowień różnych władz i urzędów i t. d. posługujących do krytycznego wyjaśnienia dziejów Litwy, Rusi litewskiéj i ościennych im krajów; zebrał w treści, opisał i w porządek ułożył Ignacy Da-

niłowicz. Z pozgonnych rękopismów wydali Eustachy Tyszkiewicz i Mikołaj Malinowski. Wilno 1848.

Nie zmieniając w niczém rękopismu Daniłowicza, zostawione przezeń lózne wyciągi z historyków starożytnych i kronikarzy wieków średnich, podamy we *Wstępie*, stanowiącym pewną całość. Prócz tego, od lat kilku poczęto wydawać ważne dzieła źródłowe, które dzieje litewskie wielce wzbogaciły; nieomieszkamy zatém z nich korzystać i załączyć w miejscach właściwych wiadomości o tych dyplomatach, które późniejsze starania odkryły. Nakoniec gdy w takim ogromie pracy, usterki były nieuchronne, sprostować je będzie naszą powinnością, a niemniéj, aby przy pomocy tego dzieła badania ułatwić, opatrzymy je listą imienną osób w niem wzmiankowanych. Słowem: nie zaniedbamy dołożyć wszelkiéj pracy i pilności ku sumiennemu wykonaniu przyjętego dobrowolnie obowiązku. Na czele dzieła znajdą czytelnicy rys życia i prac naukowych Daniłowicza.(*)

Ponieważ ta książka ze swojéj treści ma być podręczną nietylko dla pisarzów, ale i dla czytelników dzieł historycznych; aby więc niedrobić jéj na tomy, w częstem używaniu niedogodne, obraliśmy rozmiar ćwiartkowy. Objętość dzieła wyniesie przeszło ośmdziesiąt arkuszy druku; co gdy znacznego wymaga nakładu, ustanawia się cena przedpłaty za całe dzieło Złp. 50.

Druk ukończony być może do dnia 1 Stycznia 1849 roku.

Przedpłata przyjmuje się w Wilnie u wydawcy Eustachego brabi Tyszkiewicza, mieszkającego w własnym domu na Antokolu obok kościoła ś. Piotra, i u osób, które późniéj przez gazety wskazane będą.

Listy i pieniądze na prenumeratę, mają być przysyłane pod powyższym adresem.

w Wilnie dnia 7 Grudnia 1847 roku.

Eustachy Tyszkiewicz.

Mikołaj Malinowski.

(*) Patrz Przegląd Nauk. z r. 1844 T. III. str. 289.